

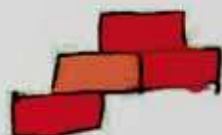
Gosti'noor

**(MIE) WIELKA UCIECZKA**

czyli

**Legenda o Błękitnookim**

**Chłopcu**



WYDAWNICTWO  
**L** DRZEWO  
LAUROWE

Gosti'noor

(NIE) WIELKA UCIECZKA  
czyli  
Legenda o Błękitnookim Chłopcu



Gosti'noor

**(NIE) WIELKA UCIECZKA**  
**czyli**  
**Legenda o Błękitnookim**  
**Chłopcu**



  
WYDAWNICTWO  
DRZEWO  
LAUROWE

Opracowanie całości: Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”  
Ilustracje (środek i okładka): Szymon Skurzyński

**Copyright© by „Drzewo Laurowe” & Gosti’noor, Zielona Góra 2011**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabronione jest powielanie i rozpowszechnianie za pomocą dowolnych środków, w tym kopiowanie, reprodukcja czy odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki na wszelkich polach eksploatacji bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or part in any form.

e-Book Wydanie I  
Zielona Góra 2011  
ISBN: 978-83-62468-27-0

Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”  
Zielona Góra  
Księgarnia Internetowa „Skryby”  
e-mail: redakcja@skryby.pl  
www.skryby.pl

# Rozdział I

*Nieoczekiwana propozycja,  
czyli co może się wydarzyć nazbyt nudnego popołudnia*

Nie był młodocianym czarodziejem, chłopcem – pajakiem, zamaskowanym superbohaterem czy zniechęcającym zabójcą wampirów. Nie przypominał mutanta ninja, ani tym bardziej zielonego, czajnikogłowego wojownika gadającego do zegarka. Zegarka zresztą nie nosił, bo ostatni – tak sam z siebie, pękł (jak i pięć poprzednich). Zamiast kosmitów miał normalnych rodziców, ziemian z dziada pradziada i babki prababki, a zamiast skrzydeł – zwykłe ramiona. Banalnie, bo tylko dwa. Nie wygrał olimpiady ani programu Idol, Miliard w Rozumie miał u niego zawsze o sześć zer mniej, nie uważano go za genialne dziecko. Choć za matołka także nie uchodził. Był zwykłym, przeciętnym chłopcem, jak większość dzieci. Pewnie dlatego dorośli zauważali go tylko wówczas, gdy im wchodził pod nogi, a starsi „koledzy” – kiedy chcieli podokuczać komuś słabszemu.

Wyglądem też się nie wyróżniał. Miał czarne, kędzierzawe włosy czesane raz na dwa dni, piwne oczy, w których błyskały żywe iskierki, nieco zadarty nos i może z metr sześćdziesiąt wzrostu. Czyli jak na swój wiek nie był ani za mały, ani zbyt wyrosnięty. Wytarte na kolanach spodnie i ślady liści oraz pajęczyn na bluzie świadczyły, iż nie chadzał wygodnymi, utartymi ścieżkami. Nazywał się... Chociaż jest to najmniej ważne, bowiem nieoczeki-

wany splot wydarzeń obdarzył go nowym imieniem.

Przygoda, jaką chciałbym wam opowiedzieć, zaczęła się w połowie maja. Dokładnie dwunastego, w piątek, kwadrans po zakończeniu zajęć szkolnych. Tego dnia pogoda wyjątkowo dopisała. Mimo silnych porywów wiatru, słońce przygrzewało, drzewa zieleniły się i kwicily. Każdy podmuch zrywał z nich tysiące białoróżowych płatków, wirujących tumanami wzdłuż ulicy. Z daleka naśladowały śnieżną zawieruchę, lecz w bezpośrednim kontakcie łaskotały, pachniały i ukradkiem wdzierały się do ust. Albo do nosa, tak że z głośnym parsknięciem trzeba je było odkasztuszać. Fajna zabawa, o ile ktoś nie jest alergikiem. Aha, i jeszcze ptaki świergotały aż do zdarcia gardeł. A miasto nawiedziły takie ich gromady, jakich dawno nie widziano. Można by rzec, że lato się pośpieszyło, aby wszystkich ucieszyć. Jednak nasz bohater na zadowolonego nie wyglądał.

– Jaka szkoła jest głupia! – mrucał do siebie maszerując, właściwie wlokąc się chodnikiem ze spuszczoną głową. Można by pomyśleć, iż przygniatał go do ziemi wyładowany książkami plecak – symbol klasowego zniewolenia. Ale gdyby mu się tak uważniej przyjrzeć, to można by zauważyć lekko siną obwolutę prawego oka, kilka zadrapań na rękach i kieszenie wypchane nierozpoznawalnymi przedmiotami. Wszystko to razem wskazywało, iż raczej wolnego czasu nie przeznaczał na wkuwanie matematyki... – Jaka szkoła jest głupia! – powtórzył z zacięciem. I nie chodziło mu nawet o to, że w poniedziałek był sprawdzian z języka polskiego podsumowujący cały rok, dnia następnego sprawdzian z matmy, a w czwartek odpytywanie z historii. Niewielkie znaczenie miał też fakt, iż właśnie dostał kolejną uwagę za tak zwaną „nadpobu-

dliwość ruchową”, bo zdążył do tego rodzaju uwag przywyknąć. Po prostu uważał szkołę za miejsce, w którym dorośli uczą dzieci zabijać marzenia.

Ze złością kopnął leżącą na ziemi puszkę, a ta z głośnym łoskotem odbiła się od trotuaru i wypadła na ulicę, wprost pod koła pędzącego samochodu. Chłopiec widząc, że kierowca zatrzymuje się z jednoznacznym zamiarem zrobienia awantury, szybko umknął w boczną uliczkę.

*Żeby meteor runął na budę i by się spaliła, albo żeby polonistkę porwali kosmici* – rozmarzył się. Nie był wcale takim złym dzieckiem, jak by się mogło z pozoru wydawać i tak naprawdę nie życzył nikomu nic złego. Ale ortografia nie należała do jego mocnych stron. Wiedział, że musi się dobrze przygotować do najbliższego sprawdzianu, mającego wydatnie wpłynąć na końcową ocenę z polskiego, co oznaczało, iż nie będzie mógł pójść w sobotę na trening karate. Treningi, na równi z grami komputerowymi były jego największą pasją (prawie największą, zaraz po uroczej Ani z VI c, ale tsss..., to tajemnica). Ostatnio zresztą pasją jedyną, bo od dwóch tygodni miał szlaban na komputer, za jakieś niesprawiedliwie wystawione jedynki z przyrody.

Wydawałoby się, że przywlecze ponury nastrój do domu, kiedy niespodziewane spotkanie zmieniło mu humor. Otóż natknął się na wesołego kundelka, który aporutował swojemu panu kijek niemal równy mu wielkością (psu, nie panu).

– Biedny piesku, ile się musisz natrudzić – chłopiec pochylił się i pogłaskał zwierzaka.

– Żebyś wiedział. Cały miesiąc straciłem, żeby nauczyć mojego pana rzucać kijkiem – odparł kundelek.

Pośmiali się do siebie i rozeszli każdy w swoją stronę.

Zbliżając się do wieżowca... Uwierzycie? To musicie być bardzo naiwni. Wprawdzie do spotkania z pieskiem doszło, ale był to zwykły pies: szczekający i wesoło merdający ogonem, a cały dialog nasz bohater sobie wymyślił. Miał bujną wyobraźnię i potrafił korzystać z tego daru, by rozweselić innych i siebie.

*Szkoda, że nigdy nie spotyka mnie nic niezwykłego. Jakaś niebezpieczna przygoda ze skarbami, walką i męską przyjaźnią. Jak w amerykańskim filmie czy w Tomb Riderze – rozmarzył się, oczyma wyobraźni widząc siebie w glorii nieustraszonego zdobywcy, odkrywcy i zakrywcy.*

Zbliżając się do wieżowca, w którym mieszkał, wzmógł czujność, uważnie wypatrując, czy nie widać w pobliżu Zygii lub jego kumpli. Niby typki starsze tylko o dwa lata, ale bardzo niemiłe. Oględnie mówiąc. A mniej oględnie, to Zyga lubił znęcać się nad młodszymi i wymuszać od nich opłaty za prawo przejścia.

Tym razem ostrożność była zbyt duża, przed wejściem wygrzewał się jedynie wyliniały kocur, który na widok nadchodzącego czmychnął przez okienko do piwnicy. Chłopiec sprawdził jeszcze czy Darek spod ósemki nie wydrapał dla niego na drzwiach wejściowych nowej wiadomości i nie czekając na windę, wbiegł na czwarte piętro. Wpadł do mieszkania i cisnął plecakiem o podłogę, aż z jego wnętrza wysypały się szkolne podręczniki i uniwersalny zeszyt. Uniwersalny, bowiem służył do zapisywania wszystkich przedmiotów, rysunków i bazgrołów, jakie bezwiednie wychodziły spod ołówka podczas nudnawych lekcji.

– No ładnie! – rozległ się przytłumiony, skrzeczący głos.

– Bracio? – zdziwił się chłopiec wiedząc, że jego starszy

brat dopiero co wyjechał z klasą na kilkudniową majówkę. Raczej nie mógł to więc być „bracio”. Ani mama, ani tata, ani gadająca papuga, chociaż takowej nie posiadali. Mieszkanie było puste, telewizor wyłączony, wścibska pani Franka – sąsiadka, nie zaglądała przez drzwi. Nawet w lodówce nikt się nie ukrywał, czego nasz bohater nie omieszkał sprawdzić.

*Jeszcze trochę, a zacznę wierzyć w krasnoludki! Albo w duchy* – pomyślał, wracając do swojego pokoju i zdziwił się jeszcze bardziej, widząc pośrodku pomieszczenia mglistą poświatę. Lśniące pasemka zdawały się wydobywać ze szczelin w parkiecie, formując mleczny obłok. Coraz większy, coraz gęściejszy... a wewnątrz obłoku zamajaczyła niepozorna postać. Z razu malutka i niewyraźna, z każdą chwilą większa i wyrazistsza. Chwiała się przy tym na boki, jakby szła... Co biorąc pod uwagę okoliczność, iż właściwie wciąż tkwiła pośrodku niewielkiego pokoju, wydawało się mocno niewiarygodne. No ale czy wiarygodną była sama mgła, bez zaproszenia i bez powodu wpraszająca się do domu?

*Mój dom jest nawiedzony!* – chłopcu od razu przypomniały się wszystkie horrory, jakich nie powinien, a które oglądał potajemnie wraz z bratem na video. Na wszelki wypadek cofnął się i wyciągnął spod łóżka kij baseballowy (żebyście tylko źle nie pomyśleli – kij był mu naprawdę potrzebny, bo grywał w szkolnej małej lidze).

Tymczasem mgła gęstniała, a tajemnicza postać podchodziła..., a raczej z każdym kolebnięciem stawała się coraz bardziej wyrazistsza. Wreszcie ukazała się w pełni okazałości. Tyle, że okazałość ta była dość mizerna. Chłopiec przez chwilę wytrzeszczał w zdumieniu oczy, po czym opuścił kij i wybuchnął niepohamowanym

śmiechem. Każdy by się roześmiał, widząc istotę wzrostu trzecioklasisty, lecz z twarzą własnego pradziadka. Istotę o wielkiej, łysej głowie, z boków której zwisały dwie rurki słuchowe, rozszerzające się przy końcach na kształt lejków. O owalnej twarzy, pomarszczonej niczym zeschnięte jabłuszko, ozdobionej wielkimi, żółtymi oczami, wąskimi ustami bez warg i spłaszczonym nosem, przypominającym trójkątny ryjek. Właściwie po bliższych oględzinach trzeba by stwierdzić, iż był to ryjek. W dodatku ów dziwoląg odziany był w starą, wypłowiałą szatę, która szczelnie okrywała go od stóp, po szyję. I pewnie odziedziczył ją po znacznie większym krewniaku, bowiem długie poły szaty spięte były u pasa, aby przypadkiem na nie nie nastąpić, zaś szerokie rękawy miały zaszyte wyloty, w których pozostawiono jedynie otwory na palce. Wyglądały niczym skrzydła i przydawały nieznanemu wygląd nietoperza, choć miały bardzo praktyczne zastosowanie (o czym jednak przekonamy się znacznie później). No co, nie śmialiście się, widząc kogoś takiego?

Dziwny gość odczekał, aż śmiech przycichnie i ponownie odezwał się głosem:

– Huczne powitanie, znaczy się, nas tu lubią.

– Przepraszam, na co dzień się tak nie śmieje... – chłopiec poczuł się lekko zawstydzony, ale przybysz nie dał mu szansy na przeprosiny.

– Sprawy nie ma, są ważniejsze rzeczy niż mówienie: „Dzień dobry, jak miło cię widzieć”, „Jak się masz” czy „Przybij piątkę”. Z taką rzeczą przychodzimy. Pomocy, pomocy szukamy. Wiosną koty chadzą własnymi drogami. No? No...!? – rozemocjonowany stworek pokiwał głową, aż jego rurkowate uszy podskoczyły kilka razy, przy opadnięciu wydając ciche kłapnięcia.



– Że co robią?

– Ty powinienes wiedzieć?

– O kotach?

– A o czym? No... Wiosną koty chadzają własnymi drogami!

– A czarny kotek wlaźł na płótek – odparł chłopiec uznawszy, że albo zaszła jakaś kosmiczna pomyłka, albo ktoś usiłuje sobie z niego zażartować, albo też usnął znużony ciepłem i wszystko to mu się śni. I że w każdym z tych przypadków odpowiedź i tak nie będzie mieć żadnego znaczenia, a może być jedynie elementem zabawy.

– Dlaczego czarny?

– Bo wylaźł z komina.

– Aha, to nawet ma sens. Dobrze że pamiętałeś odzew na hasło, bo mi jakoś wyleciał z głowy. Skoro formalności mamy z głowy, to zbieraj się i chodź z nami.

– Gdzie, jak, po co?

– Nie spodziewałem się, że chłopiec twojego pokroju będzie tyle marudził! – przybysz pokręcił z dezaprobatą głową, lecz słowa „twojego pokroju” wymówił z takim uniesieniem i pietyzmem, jakby to była modlitwa. – Dobrze, przypomnę wszystko w skrócie. Tam, skąd pochodzimy, paru przyjaciół ma kłopoty. Jasne, nie?! Niestety, nie jesteśmy w stanie pomóc im wbrew przepowiedni, więc przyszliśmy do ciebie, bo przepowiednia głosi, że w kraju za mgłą żyje chłopiec, który jest w stanie zmieniać przepowiednię. A w tej chwili przepowiednie dla naszych przyjaciół nie brzmią optymistycznie.

– Zaraz, zaraz, już się pogubiłem z tymi przepowiedniami. Czy wy..., znaczy się, czy ty jest z telewizji!? Za chwilę zdejmiesz maskę i powiesz: „uśmiechnij się, jesteśmy w ukrytej kamerze!”. Trafiłem? – chłopiec ucieszył

się z własnej przenikliwości.

– Jak kulą w płot. A właśnie, dlaczego kotek wlaźł na ten płotek? Hmm, zaprawdę zastanawiające... Do rzeczy jednak. Jestem tym, na kogo wyglądam: zabawną, tajemniczą istotą ze świata równoległego, zajmującą się zwalczaniem Czarnego Władcy, w wolnych chwilach dorabiającą sobie drobnymi, magicznymi sztuczkami – niby na zaakcentowanie ostatnich słów, w dłoni mówiącego pojawił się bukiet sztucznych kwiatów. Nie trzeba jednak było wielkiej bystrości by dostrzec, iż stworek wyciągnął je z rękawa. – Natomiast tożsamość i wygląd mojego towarzysza są ściśle poufne.

– A gdzie on jest?

– Dobrze ukryty – przybysz dyskretnie poklepał się po bocznej kieszeni i zakaszał, by stłumić dobiegający stamtąd pisk. – To tylko w waszym zwariowanym świecie rzeczy nie są takimi, na jakie wyglądają i jakimi powinny być. Ale co do ciebie, nie mam wątpliwości, że jesteś tym, kim jesteś. Czyli Błękitnookim.

– Ja, Błękitnookim?! Jakim Błękitnookim?

– Tym sławnym. Z przepowiedni! Sam posłuchaj:

*Lśni wróżebnie kamień nocy,  
krwawy blask rozłącza wszędzie,  
nic nie umknie jego mocy,  
póki istnieć u nas będzie.*

*Blady strach kroczy po dworze,  
z gór spadają mroki,  
uratować może nas tylko  
Błękitnooki!*

*Wróżbie serce wyrwie z czarem,  
lecz nie olbrzym wcale on,  
chłopcem jest co żyje w kraju,  
który skryty jest za mgłą.*

– Później przyjdzie... albo pójdzie...? Zaraz, jak to było? – stworek (a właściwie Stworek, bo tak będziemy go nazywali, póki nie poznamy jego imienia) podrapał się po głowie. – Największy kłopot z tymi przepowiedniami jest taki, iż dłużą się jak przemówienia Czarnego Władcy i nie sposób ich spamiętać w całości. Chyba, że się ma dobrą pamięć. Albo jeżeli się je wcześniej zapisze, o czym zapomniałem, bo do zapisywania też trzeba mieć dobrą pamięć. A ja już taki młody nie jestem i wszystkiego nie mogę spamiętać... – tu przerwał na chwilę i raz jeszcze podrapał się po głowie, tym razem z drugiej strony. – Co to ja jeszcze zapomniałem powiedzieć...? Aha, możesz mówić do mnie Ax.

– To imię?

– Raczej zdrobnienie. Tak naprawdę nazywam się Axcemilleundusuplimiuss Junior III. Ale wszyscy wołają na mnie Ax.

– Junior III? – mimo szczerych chęci, chłopiec zwany od tej chwili Błękitnookim nie mógł ukryć rozbawienia.

– Moi przodkowie nie byli zbyt pomysłowi – mruknął niechętnie Ax. – No, zbierajmy się, bo czas ucieka.

Chłopiec poczuł powiew przygody. Wystarczyło uchylić drzwi, by dołączyć do grona ulubionych bohaterów: Pottera, Aragorna, Gordona Freemana. Ale choć miał wielką ochotę wyruszyć z dziwnym przybyszem ku nieznanemu, coś nakazywało mu pozostać. To coś ścisnęło mu gardło, zamieniło nogi w galaretę i przykuło stopy do